

*Ziemia, Polska 6 czerwca 2024 roku*

*Gdy mówi się o końcu świata, człowiek wyobraża sobie eksplozję, totalne zniszczenie, śmierć, epidemię... Rzadko kiedy rodzi to dobre skojarzenia, na przykład z odrodzeniem, poprawą bytu, ze zdrowiem czy zyskaniem stabilności egzystencjonalnej. Dla mnie było to siedem dni ciemności, czekanie w strachu, aż ona odejdzie i powróci w końcu słoneczne światło. Po tym czasie zaczęły dziać się dziwne rzeczy i nikt z tych, co ocalał, nie potrafił jednoznacznie odpowiedzieć sobie na pytanie: czy to już koniec, czy dopiero początek końca?*

*Moim zadaniem jest opisanie tych wydarzeń, zbadanie nowych gatunków roślin i zwierząt, zebranie zeznań świadków i znalezienie źródła tych niezwyklej zjawisk, jakie dotknęły Ziemię wiosną w czasie od pierwszego do siódmego kwietnia 2024 roku.*

*Właśnie spakowałam swoje rzeczy, czeka mnie długa podróż. Zabrałam jak zwykle podstawowe narzędzia badawcze i kilka osobistych rzeczy – nie jestem paniusią z żurnala, nie trzeba mi wiele. Razem z Julkiem i Robertem wybieramy się do wioski położonej na równinach. PUSTKI – czy to adekwatna nazwa dla wioseczki położonej na zabitej dechami wsi? To się okaże. Ale ponoć zrobiło się tam niezłe zamieszanie, a radary wykazują obecność silnego promieniowania nieznanego pochodzenia.*

*Jestem podróżniczką, jestem badaczką, jestem samotniczką. To ja: Wer (Wiara) Wabel. Moim zadaniem jest badać, zapisywać i analizować. Nie do mnie należą syntezy, i choć moi zmarli na wirusa rodzice chcieli na siłę wbić mnie w okowy „Wiary”, nie mam z nią zbyt wiele wspólnego. Ja nie wierzę, ja badam i opisuję. Właśnie dlatego jestem badaczką, bo nie wystarcza mi samo słowo. Muszę czegoś dotknąć, aby w to uwierzyć, muszę czuć, aby uznać coś za prawdziwe. A odnalezienie logicznego wytłumaczenia tego, co się stało z Ziemią, to od dziś mój życiowy cel. Żadnych mrzonek, tylko fakty!*

## Rozdział 1. U wrót Nowego Edenu



### Środa

Wyjechaliśmy w nocy, była prawie 4:00. Jazda przez Polskę, po pustych drogach to był dla mnie kosmos. Żadnej żywej duszy! Do tego porzucone koło drogi samochody napędzane na benzynę lub diesel, opustoszałe miasteczka i wałęsające się bezpańsko psy... I tak przez sześć godzin. „Gdzie podzieli się ci wszyscy ludzie?! Umarli, schowali się, a może porwali ich kosmici?” O ile w nocy to jeszcze było jakoś zrozumiałe, to w dzień biło po oczach i działało na wyobraźnię. Zajmowałam miejsce z tyłu, za fotelem Roba. To Julian siedział za sterami auta i z mapy drogowej odczytywał właściwy kierunek. GPS-sy od dawna nie działały sprawnie, jakby coś stało się z satelitami. Na szczęście nasz jeep był zasilany na solar, a dziś słońce świeciło na potęgę, więc z jazdą nie było żadnego problemu. Tylko ten rażący brak ludzi.

Naszym oczom ukazała się kolejna opustoszała wieś. Jej najbliższe zabudowania stały nieopodal lokalnej drogi. Tam też było pusto.

- Zjedziemy do tej wioski, żeby znaleźć coś do picia i jedzenia - poinformował nas Julian. - Może tam już uzupełnili zapasy?

Przyjrzałam się jego przystojnemu profilowi, czarnym włosom zaczesanym zadziornie do przodu i seksownemu zarostowi na kwadratowej szczęce. Przez moment nawet zobaczyłam jego błękitne oczy, gdy obejrzał się na mnie przez ramię. - Żyjesz Wer?

- Tak!

- To coś taka cicha?

- Bo to wszystko wygląda tak, jakby wszyscy umarli.

- Wiem, co czujesz - odezwał się Rob - ja mam, kurde, gęsią skórę, jak patrzę na to wszystko

Robert Karlik był zupełnym przeciwieństwem Juliana Zwena: barczysty, przysadzisty blondyn. Na głowie miał kucyk, a jego pokaźnej wielkości broda i wąsy zasłaniały połowę jego twarzy. Starszy od Julka o jakieś dwadzieścia latek, był facetem po pięćdziesiątce. Skryty i małomówny,

posiadał niezwykle analityczny umysł, który wprawiał mnie w zdumienie.

Julian był szczupłym, wyższym ode mnie o głowę przystojniakiem o nienagannej urodzie. Wzdychałam do jego mądrości, seksapilu i pewności siebie. Raz nawet się ze mną przespał, ale to było dawno temu, kiedy zaczynałam pracę w PIOŚN-ie, czyli w Państwowym Instytucie Ochrony Środowiska Naturalnego.

Co mieli z sobą wspólnego ci dwaj? Byli samotnikami, żaden z nich jeszcze nie zdobył się na odwagę, aby ograniczyć swoją wolność jakimkolwiek związkiem na stałe. Nie wiedziałam dlaczego. Ale przy nich czułam, że nie jestem odosobniona w swoim życiowym postanowieniu: być wolną, niezależną, iść do przodu i zdobywać nowe lądy. Żadnego związku na stałe. To nie dla mnie.

Julian skręcił z głównej drogi w lewo, na skrzyżowaniu dróg. Gdy ujrzałam na własne oczy starszego człowieka jadącego na rowerze, pomyślałam, że śnię, albo oto po raz pierwszy w życiu ujrzałam ducha! Nasz samochód zrównał się z rowerzystą, a Julek otworzył okno i zapytał:

- Proszę pana, czy w tej wiosce jest jakiś czynny sklep?

Zdumiony starzec, o bujnej siwej brodzie, zatrzymał się i przez dobrą chwilę gapił się na nas, jakbyśmy spadli z nieba, albo wyrosli spod ziemi.

- Boże, ludzie! - Ucieszył się. - I macie samochód! U nas jeszcze prądu nie naprawili, benzyniaki stoją...

Zniecierpliwiony Julian przerwał jego opowieść:

- Szukamy jakiegoś miejsca, gdzie możemy zaczerpnąć wody i kupić coś do jedzenia.

- Takie rzeczy to już chyba tylko w miastach zostały. Tu się ludzie boją z domów wychodzić, bo takie jakieś dziwne rośliny urosły, jakby wszystko napromieniowane było! Jeden drugiemu pomaga i dzieli się, czym ma. Nas to w Karolinie zostało dziesięć osób. A ta reszta, to tak jakby ich co zjadło! Nie ma ich! - biadolił człowiek.

- Czyli nie dostaniemy nawet odrobiny wody? - drążył Julek.

- A woda jest! No jasne! Tylko musieliby państwo popytać po okolicy. Chociaż, z obcymi to się teraz każdy boi gadać.

- A pan nie dysponuje studnią? - pytał cierpliwie, choć widziałam, że zaczął stukać palcem po kierownicy, co oznaczało, że zaczyna się wkurzać.

- Tak, ja mam.

- To będzie może pan tak łaskaw i użyczy nam kilku litrów?

- No pewno! - Ucieszył się dziadunio, po czym mina mu zrzędła. - Tylko że ja ten rower mam, to będzie problem.

- Żadnego problemu nie będzie - odezwałam się w końcu. Wysiadłam z samochodu. - Rob, pomóż mi z tym rowerem, to go na bagażnik wsadzimy!

Karlik powoli wygrzebał się z auta i, jak na prawdziwego osiłka przystało, podniósł nadgryziony zębem czasu rower starca, po czym zarzucił nim na dach samochodu. Później wspólnie przewiązaliśmy go linką.

- Niech pan wsiada - powiedziałam z uśmiechem do staruszka, po czym otworzyłam mu drzwi. Mężczyzna zajął miejsce z tyłu, za siedzeniem Julka. Gdy ja zajęłam swoje miejsce, ruszyliśmy dalej.

Podczas jazdy do chatynki pana Staszka - bo tak się nam przedstawił ten zdrowy i silny siedemdziesięciolatek - dowiedzieliśmy się, że w wiosce zostało pięcioro dzieci i pięcioro dorosłych, w tym dwie starsze kobiety, dwóch starszych mężczyzn oraz ksiądz.

- A co z resztą ludzi? - zapytałam zdumiona.

- Nie ma! Jakby poznikali - wytłumaczył Staszek.

Byłam ciekawa zeznań tych osób, jednak to nie tutaj mieliśmy dokonywać badań. Musiałam tym razem powstrzymać się przed nadmiernym wypytywaniem o fakty. Wjechaliśmy na trawiaste podwórko gospodarza i wysiedliśmy z samochodu. Robert ściągnął rower i zwinnie postawił go na ziemi.

- Pijcie i bierzcie tyle wody, ile chcecie! - powiedział serdecznie Staszek, po czym przejął rower od Roba.

Rozejrzałam się po działce starca. Warzywniak, drewniany, stary domek, studnia jak z początku XX wieku. Facet żył w biedzie, ale nie wyglądał na smutnego. Odprowadził rower pod dom i wrócił do nas.

- Czy mogłabym zobaczyć tych pozostałych mieszkańców? - zapytałam w końcu Julka.

- Nie, szkoda czasu! Tam na miejscu jest ponoć ciekawiej.

Razem z Robem zajęli się pompą i nalewaniem wody do butelek, więc skorzystałam z tej wolnej chwili, aby jednak zapytać o kilka spraw.

- Panie Staszku - zwróciłam się do gospodarza, który przesuwiał w palcach paciorki różańca - czy słyszał pan o Pustkach? Takiej małej miejscowości w podlaskim?

- Tak - pokiwał głową. - Tam to się dopiero porobiło! Tam jest ponoć zaczątek nowego Edenu!

Julek parsknął pod nosem, a później udał, że zakrztusił się wodą pitą z butelki.

- Edenu? - pytałam dalej. - A co tam takiego jest?

- Mówią, że wielkie drzewa urosły, jak w dżungli. Jakieś nowe gatunki zwierząt chodzą, i takie inne rośliny urosły, tak jak u nas. - Moją uwagę

przykuła wysoka, seledynowa trawa, rosnąca koło chaty. Aż mnie korciło, żeby się jej przyjrzeć. – Ale nie o to chodzi. Tam po prostu jak się jest, to podobno jakby w innym świecie. Taka tam energia jest i ponoć cudowne źródło, co uzdrawia chorych... – starzec urwał temat, jakby powiedział zbyt wiele. – Ale to tylko takie tam gadanie, ja tego nie widziałem. – Machnął ręką. Wyglądał na niezadowolonego.

– Aha. Dziękuję panu za te informacje.

– Proszę, proszę. Weźcie se te wodę i jedźcie dalej – zabrzmiał trochę nieprzyjemnie, po czym wszedł do swojej chaty.

– Co go nagle ugryzło? – zdziwiłam się.

– Ja się domyślam co, ale Julek ma swoje teorie – odpowiedział Rob.

– Przecież on bredzi! – rzucił pogardliwie Zwen. – Takie pierdoły to tylko może mówić jakiś katolik.

– Jesteś antyreligijny czy uprzedzasz się do ludzi, którzy noszą przy sobie różaniec? – zapytałam na poważnie.

– Przecież wiesz, że nie wierzę w żadnego Boga. Wy oboje z resztą także. Przemilczałam jego komentarz. W swojej pracy naukowej niejednokrotnie napotykałam dowody na to, że przyroda nie jest tylko przypadkowo zlepionym szczepem komórek. Miałam zamiar sprawdzić wszystko to, co sugerował pan Staszek. Fakty były takie, że działo się tutaj coś niezwykłego i trzeba to było zbadać. A ja miałam zamiar to zrobić, przecież właśnie takie było moje zadanie.

Jakieś dwie godziny później nawet Julek nie był w stanie zaprzeczyć temu, co wszyscy troje ujrzelśmy na własne oczy.

– O ku\*wa – zaklął pod nosem zdumiony Rob.

– A ty co powiesz, Julek? – zapytałam, nie odrywając oczu od tego, co rysowało się przed nami.

– On właśnie zaczyna wierzyć – zażartował Rob.

A co czułam ja? Zdumienie, strach, zachwyt i czającą się w ukryciu tajemnicę. Wysoki co najmniej na jakieś 80 metrów, rozległy las, wznosił się pośród pustych pól i łąk niczym warowna twierdza. Z każdą minutą stawał się coraz większy, a jego szczegóły coraz dokładniejsze. Intensywność jego zieleni biła po oczach. Wyciągnęłam swoją aparaturę i zaczęłam jej się przyglądać. Czym bliżej byliśmy lasu, tym wskaźnik wykazywał wyższe promieniowanie.

– Zakładamy kombinezony? – zapytał Robert. – Co wykazuje pomiar?

– Jest tutaj duże promieniowanie, ale... to nie jest radioaktywne miejsce. Aparatura wyraźnie pokazuje, że to coś innego – podałam mu swój aparat.

- Na moją logikę, gdyby miejsce było radioaktywne, to nie urosłyby tutaj takie drzewa - podsumował Julian. W końcu puściło mu mowę. - Ale zanim tam wjedziemy, musimy pobrać próbki. Jak rozbijemy obóz, zrobę analizę gleby.

Zatrzymaliśmy się u wejścia do lasu, ale nie dlatego, żeby pobrać próbki. Po prostu nagle droga urwała się. Wyglądało to tak, jakby rośliny, które tutaj wyrosły, zrównały asfalt z ziemią. Dalej nie było już żadnej drogi, tylko wysoka trawa, krzaczory, pnącza i drzewa pokrojem przypominające sekwoje. A jednak pośród wysokich na trzy metry, seledynowych ździebeł trawy widoczna była wydeptana ścieżka. Rozejrzałam się po tamtejszej zieleni... Ani jedna z oglądanych przeze mnie roślin nie przypominała znanych mi dotychczas gatunków europejskich, a już tym bardziej polskich. One po prostu były jakby z innego świata. Dochodzący z wnętrza lasu zapach był tak kusząco dziki i zmysłowy, że zapragnęłam wejść tam natychmiast! Nieznajomy śpiew ptaka zapraszał, aby przekroczyć zakazaną granicę i wbrew potencjalnemu zagrożeniu stanąć w środku tego obcego gąszczu cudowności.

- Wer, pobierz próbki roślin i czego tylko się da - rozkazał mi Julek, wyrываяc mnie z objęć tego obcego i kuszącego tworu. - Rob, zobacz! - Wskazał mu odcisnięty w błocie ślad. Nie mogłam się powstrzymać, aby sama nie spojrzeć. To była odcisnięta racica, ale znacznie większa niż typowego jelenia czy sarny.

- To ścieżka utorowana przez zwierzęta - powiedziałam na głos moje myśli.

- Rób te próbki, bo zaraz idziemy dalej - rzucił mi przez ramię Julek. Nie lubił, gdy się go nie słuchano. - A ty, Rob, zbieraj z auta, co się tylko da. Musimy wziąć sprzęt ze sobą. Jak znajdziemy jakąś drogę, wjedziemy tam samochodem.

Oboje z Robertem spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo. Nie żeby nie chciało się nam pracować, ale Zwen zawsze zachowywał się, jakby to on tutaj rządził. Wydawał polecenia, choć każde z nas miało taki sam status: pracownika i badacza PIOŚN-u. Po tym jak Julek wydał nam rozkazy, ruszył ścieżką prowadzącą pośród traw.

- Na jego miejscu nie wchodziłbym tam sam - mruknął ku mnie Karlik. Wzruszyłam ramionami, bo cóż mogłam zrobić. Julian był ode mnie starszy o jakieś sześć lat, więc traktował mnie trochę jak małą, choć nie czułam się nią, mając 28 lat. Mimo tego, że pewność siebie Julka trochę mnie irytowała, nie mogłam pozbyć się tego odruchu bezwarunkowego, jakim było podniecenie w chwili, kiedy odkrywałam w nim samca alfy.

Zaśmiałam się w duchu ze swoich dziwnych skłonności, a później poszłam wykonać swoją pracę.

Pozbierałam, co się tylko dało: źdźbła traw, kamienie, próbkę wody z kałuży... Wszystko co wydało mi się nietypowe i obce. Odkryłam kilkanaście nowych gatunków roślin, w tym niewystępujących w Polsce kwiatów polnych. Wsadziłam kilka z nich w całości, razem z korzeniami, do foliowych torebek z plastikową szyną zamykającą. Jeśli już samo obrzeże tego lasu było tak pełne rewelacji, to co mogło skrywać jego wnętrze? A może w środku znajdowały się także ukryte jeziora, jaskinie czy wzniesienia? Moją uwagę przykuły małe robaczki, jakieś żuczki kolorowe – jeszcze nigdy takich nie widziałam. Błękitne z dwoma białymi paseczkami przebiegającymi pionowo, wzdłuż ich skrzydełek. Były dosyć spore, dlatego wydały mi się interesujące.

- Na razie tylko flora – usłyszałam nad swoją głową, gdy na chwilę dłużej przykucnęłam przy żyjątkach. Spojrzałam w górę. To był Julian, który powrócił ze swojej samotnej pięciominutowej wędrówki. Wstałam i stanęłam z nim twarzą w twarz. Nagle okazało się, że stoimy bardzo blisko siebie. Spojrzał na mnie z góry, a ja jak zakochana nastolatka zapatrzyłam się w jego błękitne oczy.

- Dobrze wiesz, że nic z tego – rzucił sucho, lecz nie odsunął się ode mnie. Prowokował mnie swoją bliskością i jednocześnie stawiał mi granicę nie do przeskoczenia. Przypomniałam sobie mój pierwszy raz...

- Wiem – spuściłam głowę, po czym odstałam o krok. Po naszym seksie, to znaczy jakiś rok temu, jasno dał mi do zrozumienia, że to nigdy więcej się nie powtórzy. Pierwszy seks w życiu, nadzieja na miłość, a później szybkie odcięcie od złudzeń. Julian wykorzystał mnie do tego, aby jednorazowo zaspokoić swoje samcze zachcianki. Ale sama sobie byłam winna. Koleżanki uprzedzały mnie, jaki on jest. Wbrew logice wzdychałam do niego już ponad rok. Był dla mnie jak dziki, egzotyczny las, tajemniczy szczyt nie do zdobycia, enigma... Ogarnęłam się szybko psychicznie.

- Mam te próbki, i co dalej? – rzekłam rzeczowo.

- Za tą linią traw jest ścieżka, która prowadzi do wnętrza lasu. Można tam swobodnie przejść. Trawa jest tam niższa, za to drzewa zasłaniają niebo – powiedział, po czym odwrócił się i ruszył w stronę samochodu. Najwidoczniej miał zamiar pomóc Robertowi w dźwiganiu sprzętu.

Z ciekawości spojrzałam na aparaturę. Wskazówka wygięła się tak bardzo, że brakło jej skali. Na panelu sterowania zaświeciła się czerwona lampka. „To dlaczego jeszcze nie umarliśmy?!” Przyjrzałam się swoim

dłoniom, nawet podgięłam rękawy flanelowej koszulki oraz jeansów, aby sprawdzić, czy nie mam na sobie jakichś plam. „Jestem cała!” Zaśmiałam się cicho i przypomniałam sobie słowa pana Staszka: „*Tam po prostu jak się jest, to podobno jakby w innym świecie. Taka tam energia jest...*”

- Tak, to jest ta właśnie energia – szepnęłam pod nosem i zaczerpnęłam znów kuszącej woni, dobywającej się z wnętrza lasu.

- Wer! Idziesz?! – krzyknął do mnie Rob. Stałam pod lasem, kilkanaście metrów od nich. Podbiegłam ku nim, zapakowałam próbki do plecaka, po czym założyłam go sobie na plecy. „No, to idziemy poznawać Nowy Eden!” Pełna entuzjazmu przekroczyłam próg Raju.

Od dziesięciu minut szłam z otwartą buzią przez wysoki, dziewiczy las. Jego wnętrze było niczym przestronna katedra zbudowana z konarów i liści, przypominających wielkością dłoń ludzką. Na każdym kroku odkrywałam coś fascynującego: to kwiatuszek, to robaczek, to znów dziwne dźwięki, dobywające się z gardzieli ptaków zamieszkujących gąszcz nad naszymi głowami. Czułam słodką woń tutejszych kwiatów, ich zapachy prosiły się o to, aby podążyć ich śladem, aż do samego źródła. Po przyjrzeniu się korze i liściom drzew, które w pierwszej chwili porównałam do sekwoi, stwierdziłam, że to jednak całkiem inny gatunek. Zaczęłam w myślach analizować wszystkie znane mi rodzaje, ale nie mogłam przypomnieć sobie żadnego, który byłby identyczny do tego tutaj.

- Teraz wiem, dlaczego ten starzec wspominał o Edenie – rzekł Robert. Szedł przede mną i co jakiś czas zerkał na mnie przez ramię.

Szliśmy gęsiego pośród strzelistych, grubaśnych pni drzew. Ścieżka wiła się na lewo i prawo, gdzieniegdzie wносиły się szpalery wysokich na trzy metry traw w kolorze jaskrawego seledynu. Pomyślałam sobie, że trawa musi być mocno napromieniowana tym czymś, czego jeszcze nie nazwaliśmy. Naszła mnie wielka pokusa, aby nazwać ją jako pierwsza, tę tajemniczą siłę. „Boska energia! Albo kosmiczna energia! Ale banał... Nie, wiem! Niemierzalna, nieziemska, ponadnaturalna...” Okazało się, że to wcale nie jest takie łatwe: wymyślić odpowiednią nazwę dla czegoś tak niezwykłego. Wtem odezwały się we mnie potrzeby niższego pokroju.

- Chłopcy, ja muszę na stronę – powiedziałam bez krępacji.

- Dobra, idź. Dogonisz nas – rzucił mi przez ramię Julek, który szedł na czele eskapady.

I tym sposobem zostałam sama. Weszłam w trawę i ruszyłam wydeptaną przez zwierzynę ścieżką. W gąszczu udeптаłam sobie miejsce, aby nie załapać jakiegoś rajskiego kleszcza, po czym saperką wykopałam dołek.



Wstyd byłoby zostawić po sobie taki smrodliwy temat w głębi Edenu. Zrobiłam jedno i drugie, wytarłam się papierem toaletowym i zagrzebałam sprawę.

Skierowałam się ku wyjściu, ale nagle moją uwagę przykuł tajemniczy głos ptaka, i to jakieś kilka metrów ode mnie. To był krzyk podobny do tego jaki wydają żurawie. Ptaszysko musiało być bardzo blisko mnie, za linią wysokich traw. Nie mogłam powstrzymać się od tego, żeby nie zobaczyć go z bliska. Na palcach zaczęłam skradać się w stronę zwierzęcia. Jednak ptak był sprytniejszy, niż myślałam. Im dalej szłam, tym jego głos bardziej się oddalał. Musiał mnie wyczuć. Ale ja byłam niezłomna, musiałam go zobaczyć choćby z daleka! Chowając się co chwilę za szerokimi pniami drzew, dotarłam w końcu do miejsca w głębi lasu, gdzie znalazłam ukryty w dolince staw. Nad jego brzegiem dostrzegłam ogromnego ptaka, przypominającego wyglądem pawia. Z tym że ten był o wiele większy i był cały biały. Trafiłam akurat na moment, kiedy rozkładał swój długaśny ogon. Zaczęłam przesuwając się w prawo, aby zza krzewów przyjrzeć się powodowi jego zachowania. Okazało się, że biały paw kłaniał się właśnie swojej partnerce – srebrzystopiórej kurce. Nie chciałam im przeszkadzać. Zrobiłam im tylko z daleka zdjęcie swoim małym, podręcznym aparacikiem cyfrowym, po czym zaczęłam się wycofywać. Lecz moją uwagę nagle przykuło coś jeszcze. „Budynek na drzewie?”

W oddali, na jednym z niższych drzew, dostrzegłam coś w rodzaju budowli umiejscowionej na wysokości kilkunastu metrów. To musiał być czyjś dom lub ambonka dla myśliwych. „Zatem jednak są tutaj jacyś ludzie!” Postanowiłam z ciekawości zajrzeć do chatynki tego ktosia, który odważył się tutaj osiedlić. Miałam mu do zadania wiele pytań...

Wyszłam z krzaków na coś w rodzaju podwórka. Na wydeptanym placu dostrzegłam kilka ściętych piłą maszynową pni drzew. Nad moją głową ujrzałam skrawek błękitu. Zbliżyłam się do domku. Na pniu zwisała drabina zrobiona z palików i sznura. Nieopodal znajdowały się także pompa od studni i sznurek na pranie. Pod linią lasu, jakieś dziesięć metrów od domku, stała drewniana komórka. „Ktoś się tu pięknie urządził.” Byłam ciekawa, czy „posiadłość” jest zamieszкана. Zamiast odpowiedzi zobaczyłam natomiast wielkie psisko, które wypadło zza komórki. Z wściekłym warczeniem bestia rzuciła się w moją stronę. Nie miałam innego wyjścia: rzuciłam plecak na ziemię, przypadłam do drabinki i zaczęłam się po niej wspinać. Miałam nadzieję, że pies nie odgryzie mi tyłka, zanim zdążę wdrapać się wyżej, albo nie okaże się, że potrafi wejść po drabince na górę!

Psisko o wielkim łbie miało wysokość doga arlekina, ale wcale go nie przypominało. Było potężne niczym niedźwiedź, ale w wersji mini. Pies ujadał, warczał i gryzł drabinkę, ale nie umiał się po niej wspiąć. Trochę mi ulżyło, ale tylko na chwilę, bo jakieś dwadzieścia sekund później na podwórku pojawił się właściciel tego domostwa. Zobaczyłam, jak z krzaków wychodzi dobrze zbudowany koleś, ubrany w sfatygowany podkoszulek, spodnie bojówki i czapkę z daszkiem. I nie byłoby w tym niczego niepokojącego, gdyby w jednej dłoni nie trzymał strzelby a w drugiej butelki po wódce. To zabójcze połączenie zrobiło na mnie jeszcze większe wrażenie, kiedy czterdziestolatek stanął pod drzewem i burknął wrogo:

- Co to ma być?! Kradzież w biały dzień?!

- Ja p-przepraszam, ale ten pies mnie gonił i uciekłam na drzewo - wytłumaczyłam, telepiąc się z emocji.

- Misiek, do budy! - rozkazał swojemu psu. Bestia przestała się wściekać, a później od tak odeszła sobie w stronę komórki, merdając długim ogonem. - Pani zejdzie!

Przez chwilę wahałam się nad spełnieniem tego rozkazu. Bałam się tego dziwnego człowieka. Miałam tylko dwa wyjścia: mogłam zejść i stanąć oko w oko z potencjalnym zagrożeniem, lub wdrapać się na górę do domku, aby się w nim ukryć i wezwać krótkofalówką Roba i Julka. Ten mężczyzna mógł być nieobliczalny, przecież miał przy sobie broń! I dałam się ponieść swoim obawom. Zaczęłam prędko wspinać się po szczeblach ku górze. Lecz gdy dotarłam do klapy wejściowej, natrafiłam na opór. Była zamknięta kłódką!

- Pomóc pani? - zapytał mnie osiłek, krzyżując umięśnione ręce na wysokości piersi. Stał pod pnem i gapił się na mnie z kpiarskim uśmiechem. Ściągnął czapkę i schował ją sobie do tylnej kieszeni spodni. Strzelba leżała teraz wsparta o pień drzewa domu, z kolei butelkę włożył sobie do kieszeni bojówek. Przeraziłam się, kiedy zaczął się ku mnie wspinać. Bałam się, że zaraz ściągnie mnie z tego drzewa i rozprawi ze mną tak, że popamiętam...

- Pani się trochę przesunie, to otworzę - powiedział, gdy dotarł do moich stóp. Nie miałam innego wyjścia, ustąpiłam mu. Szczeble były na tyle szerokie, że mogliśmy na nich stać jednocześnie. Trzęsłam się ze strachu, musiał to wyczuć, bo kiedy stanęliśmy oko w oko, bardzo blisko siebie, powiedział:

- Spokojnie panienko, nie jestem mordercą - uśmiechnął się ironicznie.

Był jasnowłosym mężczyzną w wieku 40 lat, miał krótko przystrzyżoną brodę oraz wąsy. Przewyższał mnie o dobre dziesięć centymetrów. Na

jego głowie widoczne były zakola, a jego włosy były gęste i długie na jakieś pięć centymetrów, zaczesane do tyłu. Przypominał mi z twarzy oprycha, co dopiero wyszedł z pudła. Typ przystojnego brzydala, cwaniaczek, dowcipniś...

- Faust Obałel - podał mi dłoń, lecz ja ani drgnęłam. Gapił się w moje oczy dobrą chwilę, zanim zorientował się, że potrzebuję pomocy. Czułam, że słabnę. - O pardon! Zaraz pani otworzę. - Szybko otworzył kłódkę i silnie pchnął klapę, która chwilę później trzasnęła o podłogę domku. Zwinnie wdrapał się do środka, po czym wyciągnął ku mnie dłoń. Nie miałam innego wyjścia, musiałam się go chwycić. Złapał mnie za przedramię, a później sprawnie wciągnął do środka. Nie zdziwiło mnie to, wszak był dobrze napakowany, choć nie przesadnie. Stałam na środku chaty i wsparłam się o pierwszy mebel, jaki napotkałam na swojej drodze. Trafiło na krzesło.

- Pani się uspokoi - powiedział, po czym z trzaskiem zamknął klapę. Znalazłam się sam na sam w zamkniętej, obcej przestrzeni z jakimś cwaniakiem, który chodził po lesie ze strzelbą i flaszką wódki! - O rany, no już dobrze - starał się zabrzmieć przyjacielsko. Podszedł do półki i wyciągnął z niej szklanekę, po czym nalał do niej przezroczystej cieczy, którą nosił przy sobie w butelce. Postawił szklanekę na stole.

- Pani się napije, bo strasznie blada.

Po chwili odsunął krzesło obok mnie i pociągnął mnie za rękę, abym usiadła. Wzięłam do ręki szklanekę i z obrzydzeniem powąchałam zawartość. „To nie wódka.” Zdziwiłam się. Strasznie chciało mi się pić, więc bez zastanowienia wychyliłam wszystko do dna.

- Po tym poczuje się pani lepiej, to woda lecznicza - oznajmił.

Wtem przypomniałam sobie, że zostawiłam na dole mój plecak.

- Moje rzeczy... czy pies ich nie zniszczy?

- Misiek? Nie! On nie niszczy rzeczy, może je tylko co najmniej obniuchać i obsikać.

- O nie! Ja tam mam ważną aparaturę! Kosztowała miliony! - Zerwałam się z krzesła, jakbym dopiero co napiła się jakiegoś dopalacza. Faktycznie, woda przywróciła mi siły.

- Pani jest badaczką?

- Tak, przyjechałam tutaj z moimi kolegami.

- Jak pani na imię?

- Wer Wabel.

- Wer? Czyli Weronika?

- Nie, po prostu Wer.

- Brzmi jak warczenie psa, aż nie pasuje do kobiety tak pięknej i odważnej.
- Uśmiechnął się dwuznacznie. Wyglądało na to, że się ze mnie naśmiewa, albo ze mną flirtuje.
- Panie...
- Faust Obałel - przedstawił mi się ponownie.
- Panie Obałel...
- Po prostu Faust.
- Wolę zwracać się do obcych mężczyzn oficjalnie. Panie Obałel, czy może pan przynieść mi mój sprzęt?
- Tak, Wrrr, to znaczy Wer.
- Pan jest pijany? - zapytałam, bo zachowywał się dziwnie.
- Tak, ze szczęścia, że spotkała mnie taka miła niespodzianka. - Uśmiechnął się zadziornie. Miał twarz zbója, rabusia albo zabijaki. Nawet przez chwilę przestraszyłam się, że trafiłam na wygłodniałego gwałciciela, ale nie... On był po prostu jakiś dziwny. Zszedł na dół po mój plecak i przyniósł mi go, po czym zaproponował mi coś do jedzenia. To w jakiś sposób zdobył pożywienie, zdumiało mnie niepomniernie.

